№ 19.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 13. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Taka była wola Boża.
(Powiastka.)

I.

Jużto paręset lat, jak mury klasztoru Owińskiego zaczęły się przeglądać w nurtach tuż płynącéj Warty. Lata za latami płynęły, a na nich niewidać żadnéj odmiany, jak i na powierzchni Warty; burze za burzami w społeczeństwie przemijały, a mieszkańców klasztoru w swój wir nieporwały. Klasztor stał jak skała, a mieszkańce jego jak duchy, które się nigdy niemienią.

Klasztor Owiński był zbudowany w czworogran z piętrem; dolne i górne pomieszkania przerzynały na krzyż kurytarze.

Na tych kurytarzach, będzie temu z okładem lat czterdzieści, w wilią Podwyższenia Ṡgo Krzyża, największéj uroczystości w Owińskach z całego roku, było ruchu niemało. Dziewczęta służebne zakonnic biegały jak młode sarny, bo na jutrzejszy odpust trzeba białą katunową sukienkę odświeżyć — wstążeczki do warkoczy przygotować. I zakonnica raz poraz poważnym przesunęła się krokiem, bo i zakonnice zdobiły swoje cele jak mogły; to ustawiają świeże kwiaty w malowanych garneczkach na stoliki, to posypują podłogę świeżym piaskiem. — W górnéj części klasztoru były cele mieszkalne; z tych trzy części dla sióstr zakonnych, a czwartą część zajmowało mieszkanie ksieni, które się składało z trzech cel: bawialnéj, jadalnéj i sypialnéj.

W sypialnéj celi siedziały dwie niewiasty w zakonnym ubiorze Cystersek. Starsza z nich, siedmdziesięcio-letnia, dość dobréj tuszy, z pogodném wejrzeniem, z twarzą mało marszczkami przyćmioną, pokazywała, że choć wiele lat przeżyła, to nawałnice życia przelatywały nad jéj głową bez śladu, a serce żyło bez cierpień. Siedziała w dużém krześle, a przed nią na małym stoliku leżała otwarta książka: Żywota Świętych, w którą się pilnie wczytywała; była to ksieni.

W drugiém oknie u stolika siedziała kapelanka, zatrudniona szkaplerzykową robotą. Jakie dwadzieścia lat młodsza od pierwszéj: mała, szczupła, z bystrém wejrzeniem, z chełpliwym uśmiechem, widać, że z kimkolwiek los ją w życiu powiąże, ona pewno nad nim będzie panowała. Kapelanka, nieodstępna towarzyszka ksieni, mieszkała z nią w jednych celach, z nią pacierze odmawiała, jéj korespondencye załatwiała, na które nie zawsze lubiła chętnie odpisywać, chociaż się rzadko zdarzały.

Zaturkotały koła przed klasztorem, w dzwonek u forty zadzwoniono, a po chwili weszła fortyanka do celi. Umaczawszy dwa palce prawéj ręki w srebrnéj kropielnicy, przybitéj we drzwiach, przeżegnała się i oddała ksieni list. Ksieni zdjęła okulary z nosa, i przetarłszy je czarnym szkaplerzem, który jéj spadał na piersi i na plecy w formie szalu, zaczęła go odczytywać. Dowiedziała się z niego, że pan podstoli Dąbczewski, sąsiad, rogacza na jutrzejszy odpust przyséła, a on sam jutro pannie ksieni do nóg upadnie, i z nim jeszcze ktoś drugi. Trzeba było odpisać i do księdza spowiednika na obiad prosić.

Ksieni spojrzała na kapelankę, ale ta wcale głowy od roboty niepodniosła, ani się zapytała: »Czy jéjmość dobrodziéjka każe odpisać?« Zła wróżba! Ksieni niewie jak mówić, żeby odpisała. Strach ją,

bo kapelanka może się zamroczy, porwie papier, i zapyta: »I cóż mam pisać? cóż będę pisała? bo ja niewiem.«

Ksieni chcąc też raz kapelance pokazać, że się bez jéj łaski obejdzie, wyciągnęła szufladę ze stolika, wyjęła papier, pióro i cynowy kałamarzyk z piaseczniczką, i wzięła się do pisania. Już trzy arkusze papieru zepsuła, ą niemogła na żaden sposób dużego — D — napisać, a Dobrodzieja często trzeba było powtarzać. I inne litery też do jakichś dziwnych znaków były podobne, ale tych znaczenie to ksieni przynajmniéj sama odgadła; lecz owo D już ją całkiém przekonało, że tak trudnéj pracy niepodoła.

Stawiałać dawniéj niezłe litery; chociaż czasem w słowie brakowało ich kilka, to w drugiém wynagradzała pisząc ich za wiele. Ale od dwudziestu przeszło lat, jak jéj siostra umarła, a z tą umarły i stósunki ze światem zaklasztornym, nieodbierała już listów tylko w interesie zgromadzenia, na które zwykle kapelanka odpowiadała. Była jeszcze potrzeba przepisywania modlitw, ale ten ciężar zwykle składały zakonnice na księdza spowiednika.

W takim kłopocie przychodzi ksieni szczęśliwa myśl, że siostra Anna ładnie pisze. Uchyla więc drzwi na kurytarz, i pierwszéj biegnącéj dziewczynie każe panny Anny wołać. Siostra Anna — jako zakrystyanka — była na dolnych kurytarzach zajęta strojeniem ołtarzy w świeże kwiaty.

Po chwili weszła do celi ksieni dwudziestoletnia, blada, z pięknemi czarnemi oczami zakonnica. Do jéj smukłéj kibici dziwnie pięknie przypadała biała, szeroka, z cienkiéj wełnianéj materyi zakonna suknia; a w welum białém rąbkowém z czarną podbitką, które obtulało głowę, było jéj tak ślicznie, jakby je przywdziała dla przyozdobienia.

Przeżegnawszy się święconą wodą, nim zdołała zapytać: »cóż jéjmość dobrodziéjka rozkaże?« już ksieni mówiła: »Panno Anno, odpisz waszeć panu Dąbczewskiemu, że za rogacza serdecznie dziękuję, i upraszam, żeby się na jutrzejszy odpust wybrał z swoim godnym gościem, i u księdza spowiednika zjadł obiadek.«

W parę minut list był napisany, a kapelanka upokorzona słuchała, jak siostra Anna odczytywała go głośno, bo się przekonała, że w istocie umie odpisywać, gdyż wyrazy konsideracya, afekt i t. p. obficie były rozrzucone, a w klasztornym stylu miało to wielką wartość. Niekontenta była z tego odkrytego talentu. Lubiła się kwasić i być łagodzoną nim odpisała, gdyż to jéj pochlebiało, że się bez niéj obejść niemogą. — Obudzało się teraz w niéj takie uczucie, jak w próżnéj kobiecie światowéj, która przez dziesięć lat przyzwyczaiła się, że jest najpiękniejszą; aż naraz zobaczy piękność równą, ale młodszą o lat dziesięć. Myślą przyzna jéj wyższość, ale sercem nigdy! bo się w niém odezwie zazdrość i upokorzenie — a tych oboje niełatwo przebacza.

II.

Dzień Podwyższenia Śgo Krzyża był pogodny. Od szóstéj zrana na dziedzińcu klasztornym, który także prowadził do kościoła, uwijał się lud wiejski w świętnych strojach. Na głowach dziewcząt powiewały różnobarwne wstążki z długiemi warkoczami; mężatki świeciły złotolitemi czapkami: a raźne parobczaki przewijali się w modrych sukmanach, w czarnych pasach, i baranich czapkach z pawiemi piórkami. Wszyscy się nieomal między sobą witali podaniem ręki, bo wszyscy byli krewni, komotrowie, albo sąsiedzi.

Późniéj zaczęły zachodzić parokonne bryczki, a z nich wysiadali księża z okolicy, i kościół coraz bardziéj napełniał się pobożnymi. Koło dziesiątéj, przed summą, zaczęły zachodzić ciężkie karety sześciokonne, i kolasy czterokonne: z nich wysiadywały rodziny dziedziców i dzierżawców.

Ku końcowi z turkotem zaszła przed kościół żółta kolasa, cztery konie pstrokate, wzdłuż zaprzężone, spasłe, żeby się na nich kropla wody nieostała; stangret z konia powoził, hajduk na koźle i dwóch za kolasą, bo na odpuście chcieli być wszyscy, i kucharz i ogrodnik wieszali się jak mogli, żeby nie iść pieszo.

Z kolasy wyszedł naprzód człowiek sześćdziesięcioletni, wysoki, otyły, w czarnéj czamarze, w zielonym pasie w srebrną karpią łuszczkę, i w białéj konfederatce z kasztanowatym barankiem. — Spojrzał na wszystkie strony dziedzińca, widział jedne kolasy już powyprzągane, drugie niewyprzężone, i rzekł do towarzysza żwawo z kolasy wyskakującego:

»Widać, że już niema miejsca dla koni; zapóźnośmy przyjechali, trzeba było wasana słuchać panie Józefie i jechać od rana. Do kościoła się niewtłoczymy, aż wyjdzie procesya na kurytarz. Pójdźmy do forty, przegryziemy co, boć ciotki to wasan niezobaczysz aż po nabożeństwie.«

Drugi z przybyłych był dwudziestokilkoletni młodzieniec. Wysoki, szczupły, twarz ściegła, ogorzała od słońca, pokazywała, że niesiedział w izbie, wąsik mały, ciemny, włosy ciemne krótko przystrzyżone, oczy siwe niezbyt wielkie, ruch i posta-

wa ostra, żołnierska. W oczach i uśmiechu łagodność dziewczyny. Ubrany był podług francuzkiéj ówczesnéj mody, pół obozowéj, pół salonowéj: bóty palone za kolana długie, kamizelka czarna do góry zapięta, surdut czarny krótki, i czarny kapelusz. Obadwaj nowo przybyli weszli do sieni klasztoru, a z niéj do forty bez zadzwonienia, gdyż była otwartą dla księży, którzy tamtędy szli na kawę.

Forta była to duża izba, przez środek przegrodzona żelazną kratą misternéj roboty; z boku ta krata miała małe drzwi, któremi wchodziły kobiety przybyłe do klasztoru, a mężczyzni zostawali w pierwszéj przegrodzie. Na środku otwierała się ta krata nakształt okna. — Teraz przy tém oknie siedziała zakonnica, i nalewała kawę na stojącym stoliku z drugiéj strony kraty dla przybyłego księdza.

Obadwaj panowie przybliżyli się do zakonnicy, i starszy pocałował ją w rękę, a młodszy się ukłonił. Po zapytaniu starszego o zdrowie, spojrzała zakonnica na jego towarzysza, w jéj oczach trochę dziwacznie ubranego i po chwili zawołała: »Ach! to pan Józef! ale któżby też wasana poznał, tak zmężniał, ale jak zczerniał. Ciotka na chórze na pacierzach, bo zaraz procesya wyjdzie; nieboga staruszka jakże się uraduje!« A potém nastąpiły jak grad zapytania, gdzie bywał, kiedy przyjechał i t. d. W tych zapytaniach nieprzebijała się sama próżna ciekawość, ale widać było troskliwość. Kapelanka patrzała na Józefa jak rosł; sześcioletnim chłopczyną niemało po kurytarzach nabiegał, do cel bez pozwolenia wpadał, kanarki w klatkach straszył, wstążeczki, któremi były modlitwy w książkach pozakładane, wyciągał, a z łacińskiemi był niemały kłopot, bo trzeba było aż do księdza spowiednika chodzić, żeby zagubionych modlitw szukał. Zakonnice o te psoty Józefka łajały, zaraz jednak pieściły, dawały pierniczków, bo mówiły, że biedny sierotka bez matki.

Józef Skrzetuski był synem przyrodniéj siostry ksieni, wcale matki niezaznał. Ojciec go często w odwiedziny do ciotki posyłał, a Józefek z radością jechał, bo w klasztorze było dużo obrazków, kwiatków, i dobrych przekąsek. Ale tylko do siedmiu lat trwała ta uciecha, gdyż potém już zakonnice za kraty niewpuściły.

Późniéj odwieziono Józefka do szkół, i tylko parę razy na rok Owińska odwiedzał. W piętnastym roku życia utracił ojca. Pan Dąbczewski został opiekunem i posłał go do XX. Pijarów do Warszawy na naukę. Będąc tam kilka lat, pojechał do młodego przyjaciela Wielowskiego na Ruś, a z nim do Multan. Tulali się tam dość długo z wielu innymi rodakami, ze słodką myślą służenia tém sprawie ojczystéj. — Ta sama myśl zaprowadziła ich i do legionów.

Od tego czasu rzadkie były o Józefie Skrzetuskim wiadomości w Owińskach — a od trzech lat żadnéj. Ksieni płakała, że pewnie zginął, kapelanka pocieszała jak mogła, ale się saméj łzy w oczach kręciły. A niedawno temu, jak się ksieni śniło, że widziała Józefka w zieleni i w bieli; kapelanka mówiła, że sen mara, ofiarowała jednak koronkę do Matki Najświętszéj, aby go od śmierci uchowała.

»Więc to pan Józef był tym gościem, o którym jegomość wczoraj pisałeś?«

»Czy to pani wczoraj odpisywałaś?« zapytał prędko Józef. — Niewiem, coby była kapelanka odpowiedziała, ale się pan podstoli Dąbczewski odezwał:

»Jéjmość panna kapelanka zawsze odpisuje na listy panny ksieni, ale téż pisze nie jak niewiasta, ale jak patron.« — Na to pochlebstwo uśmiechnęła się kapelanka, poprawiła paciórków, które wisiały z medalikami u czarnego szerokiego pasa, mówiąc:

»Już teraz tak niepiszę, już się ręka trzęsie.«

Józef daléj niesłuchał, tylko na jego twarzy wybiła się razem radość. Niewiedzieć dla czego pocałował kapelankę w rękę; kieliszek kminowéj od pana Dąbczewskiego odebrał, i pierniczka przegryzł. Wkrótce się też dzwonek na kurytarzu odezwał; ksiądz i obadwaj przybyli poszli do kościoła, a kapelanka zamknąwszy fortę, poszła na procesyą.

Na czele zakonnic stanęła ksieni ze srebrnym pastorałem w ręku; po prawéj jéj ręce przeorzysza, a po lewéj kapelanka. Za niemi ciągnął się długi szpaler sióstr zakonnych, podług starszeństwa lat, ze świecami w ręku.

Drzwi od kościoła prowadzące na kurytarz otworzono. Ksiądz z monstrancyą w ręku, w bogatéj kapie próg klauzury przestąpił, a za nim wszyscy księża w białych komżach ze świecami w ręku. Zakonnice poklękły i korne czoła przed Najświętszym Sakramentem ku ziemi pochyliły. Księża stanęli na przodzie, a tuż za nimi zakonnice.

Dziewczęta w białych sukniach i kolorowych przepaskach stały przy drzwiach, czatując na dzwonki i kadzielnice, które im chłopcy usługujący w kościele ze złością oddawali. Choć wiedzieli, że tę swoję godność tylko na pół godziny składają, gniewało ich to jednak, że w ręce dziewcząt się dostała, na które od kołyski przyzwyczaili się patrzeć jako na niższe istoty od siebie. A te biły w dzwonki

z całéj siły i podrzucały kadzielnice równo z głowami. Chłopcy stali tak długo w progu, póki znajdujące się w kościele kobiety niewyszły na kurytarz, bo wtenczas drzwi zamknięto.

Z innėm uczuciem spoglądał Józef Skrzetuski na kurytarz. Najpierw chciwém okiem przebiegł dwa rzędy pochylonych ku ziemi pobożnych zakonnic; wszystkie jednakowo ubrane, równo też wyglądały. Zatrzymał oczy na jednéj — nie na ksieni, ale na klęczącéj ku końcowi zakonnicy; za nią klęczały tylko konwiszki. *) Patrzał, aż się podniosła i wolnym krokiem postępowała.

Choć wmawiał w siebie, że to być niemoże Helena Wielowska, bo skądby się do klasztoru i w te strony wzięła; niespokojność jednak do serca się wkradła, bo podejrzenie byle pozorem rzucone silnie je opanuje, i choć w pierwszéj chwili przygłuszymy je myślą, chwytamy jednak jakby nam samym na przekorę, każdy pozor potwierdzający nasz bolesny domysł.

Po półgodzinnéj procesyi drzwi na kurytarz otworzono. Kobiety i księża wrócili do kościoła; chłopcy za próg na kurytarz przechylali się, żeby dziewczętom dzwonki i kadzielnice coprędzéj wydrzeć, a zakrywszy się ręką, wykrzywiali na nie gęby, te zaś o parę kroków stojąc uśmiechały się złośliwie, dzwoniły i kadziły tak długo, póki ostatnia z kobiet nieprzeszła progu; wtedy już niby tą uciechą przesycone, z obojętnością dobrze udaną, dzwonki i kadzielnice oddawały.

Józef znów niespokojnie na kurytarz spojrzał, ale zakonnice już weszły na chór, i odpowiadały księżom śpiewającym po łacinie. — Wtedy cała jego dusza zbiegła się do uszu; chciał rozpoznać głosy śpiewających. I na chwilę musiał coś nadzwyczajnego usłyszeć, bo nagle obrócił głowę ku chórowi i jakieś dziwne przerażenie wybiło się na jego twarzy, że aż pan Dąbczewski przy nim siedzący i pilnie się modlący w łacińskiéj książce, spojrzał na niego i zapytał: »Dla Boga! panie Józefie, cóż ci to?« — Józef zmieszany zwrócił głowę ku ołtarzowi i odpowiedział: »nic.« Ale wiele pacierzy nie namówił; słuchał tylko i słuchał, a niekiedy spoglądał na chór, choć wiedział, że przez jego gęste kraty nic niedojrzy.

(Dokończenie nastąpi.)

---

*) To samo co w męzkich klasztorach braciszkowie.

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Wychowanie młodzieży.

(Ciąg dalszy.)

6. *Złe domowe wychowanie dzieci.*

Lekkomyślni rodzice albo zupełnie zaniedbywali wychowania swych dziatek, albo je wychowywali pieszczono, albo ladajakich dobierali im nauczycieli, a następnie wysełali za granicę dla dalszego ćwiczenia się i rozpatrzenia w świecie. Niejeden ojciec zamiast dbać o naukę dzieci, kazał im paść gąski, albo chmiel skubać, albo drzéć pierze [1]). Pieszczony chłopczyk wstawszy rano, nieubrał się zupełnie, lecz wdziawszy koszulę zabierał resztę sukien, i poszedł się ubrać do cieplejszéj izby. Tam wziąwszy na nogi sukienne obuwie i spodnie ze trzema rozporami (modnego kroju), przechadzał się z kąta w kąt, albo się przeglądał we zwierciedle, uwiązawszy je sobie u ręki na cienkim sznureczku [2]).

[1]) Jurkowsk. Scylurus w intermedyum. [2]) Guczy. Grobian rozdz. I.

aa) Domowy nauczyciel.

Lekkomyślni rodzice niebyli troskliwi w doborze nauczyciela domowego, albo mając w domu swoim poczciwego człowieka, nieumieli go szanować. Uwagę czyniono, że niektóre pańskie domy śmierdziały pedagogiem, i że we większéj tam wadze były psie i końskie mistrze, kuglarze, pasorzyty i głaszczouchy, aniżeli nauczyciele młodzieży; że pedagogów poją panowie gęsim trunkiem i karmią grucą (grubą kaszą), okrasiwszy ją solą; że bałwanom dworskim dają torty lub słoninę z kaszą, a pedagogowi groch lub dyngus (polewkę) owsiany [1]). Przyjmowali ladajakich ludzi, błaznów i awanturników, cenili ich lekko, a przecież im wychowanie własnych powierzali dzieci. Antoni Rialto, Włoch, awanturując się w Moskwie i w Polsce, był nauczycielem domowym Stanisława Ostroroga, wojewody poznańskiego, a następnie przez niego polecony został na błazna Zygmuntowi III. [2]). Domowy nauczyciel u lekkomyślnego szlachcica w równi był z pachołkami uważany. Jakby na chłopca wołał nań pan ojciec [3]), dla tego też pan syn niemógł mieć dlań uszanowania, zwłaszcza jeżeli sam umiał poznać się łatwo na nicości swego mistrza.

Krzysztof Pieniążek tak opisuje [4]) domowego nauczyciela swego: »Bakałarz mój, który jako ka-

walkator powinien był młodemu dawać do wprawowania pobudki, wziąwszy dwie plebanie, wolał usieść na gospodarstwie, aniżeli służbą się bawić. Na miejsce którego trafiłem na pewnego informatora, Mikolaja Witowskiego. Urody i wymowy było dosyć, jedno co najlepszego niebyło. Gdym szedł do kościoła, mój Witoś kogo jedno zaciągnąć mógł, jako starszym będąc, tak w kościele jako po ulicach, na dobrą myśl zapraszał. A to udając, że tobie tego potrzeba, abyś miał ludzką znajomość i zachowanie: kuchnię też dobrze sporządziwszy wszystkiemi dostatkami, trunek także jako mógł być najkosztowniejszy w Krakowie. Po obiedzie było warsztatów kilka kart, warcabów, kostek, czasem koni drabowanie aż do nocy. Czasem i całą noc wszury (muzyka) aż do dnia bywało: to i tessalów (rąbaniny na pałasze), aże drugi bez ucha, ręki, nogi, czasem i bez głowy został. Kiedy w skrzynce niestało pieniędzy, on pan informator ukazował się sprawnym w dostaniu z żydami na handle. A był w tém żyd Symon z Będzina najsławniejszy, który wnet umiał dostać: ale w kilku tysiącach złotych ledwo kilkaset było gotowych, reszta składała się z fantów, któreśmy brali za gotowiznę, a następnie za ladaco spieniężali, jako to: sukna, futra, korzenie, sól, ołów, nawet glejtę (garncarski pokost) braliśmy.«

[1]) Jurkowskiego Scylurus w intermedyum. [2]) Siarczyński w Czas. 1829. poszyt 4ty str. 43. i następ. [3]) Tak szlachcic od Malborga odzywa się do sługi: »bież chłopcze, zawołaj Niemca, co zemną przybył z Królewca« rozm. I. z r. 1553. [4]) Str. 11., 12. Ethica.

bb) Skutki złego wychowania.

Dobre dzieci nigdy inaczéj niemawiały o rodzicach swoich, jak tylko, że u nich służą [1]). Zły synek, gdy dorosł, darł z tatuśka, jakby wełnę z barana. Co lepsze zabierał mu suknie, »daj (mówił do niego) swoję czerwoną suknię, bo tobie stary ojcze dobrze w szaréj.« Rachował dni życia ojcowskiego i często mawiał o swoim rodzicu: »to już nie młody pater, czasby mu przed Mojżesza.« Gdy się dwóch zebrało młodzików, mawiał jeden do drugiego: »jabym już potrafił sądzić gromadę, wiem gdzieby siać pszenicę, gdyby tylko ta stara szubienica niezawadzała.« Wszędzie po ścianach pisał: »szczęścia czekam«, a dworscy widząc, że im pod głupim panem lepiéj będzie, potakiwali mu i cieszyli się z mów jego [2]). Zarozumiałość jak największa była w młodych ludziach źle wychowanych. Mawiali oni: »My młodzi rodzim się z rozumem, a onym starym w szkołach go z kłopotem udzielano« [3]).

[1]) Pieśń krotochwilna. [2]) Rej, Wizer. 57., Żyw. 160. [3]) Przygody starego żołnierza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H.

(Ciąg dalszy.)

VI.

O doskonaleniu się.

Wiemy tedy, że prócz wychowania i edukacyi zwyczajnéj, jest druga edukacya nierównie ważniejsza, trudniejsza, któréj życie całe poświęcić należy. Celem jéj, treścią, winno być doskonalenie się, czyli chęć i staranie, stania się codzień lepszym, zbliżenia się codzień więcéj do owego wzoru, do owéj miary doskonałości, które człowiekowi każdemu zarazem z powinnościami wydzielone zostały. Bo wątpić o tém nietrzeba; każdy z ludzi w stósunku do zdolności wrodzonych i do przeznaczenia swojego, ma sobie naznaczony stopień wysokości moralnéj, do którego dążyć powinien ciągle. Każdy z nas kryje wewnątrz siebie, jakby wizerunek swój upiękniony, którego starożytni lepszym ja nazywali, a każdego z nas jest powinnością dochodzić tego wzoru piękności moralnéj, czyli doskonalić się.

Chlubnéj możności doskonalenia się, człowiek niepodziela z żadną istotą znikomą, a wszystko to, co w nim i koło niego się dzieje, przypomina mu ją i przekonywa go o niéj. — Wszystkie rzeczy stworzone stanęły od razu na szczycie swéj doskonałości; odtąd idą ciągle drogą swoją, spełniają wytknięty zawód, lecz spełniają go jakby na ślepo, i ani go znają, ani go zmienić, ani poprawić niemogą. Na jednego tylko człowieka Bóg nienałożył takiego jarzma; owszém ukazawszy mu dobre i złe, pozwolił mu wybierać sobie, a hojny w darach swoich, natchnąwszy go uczuciem dobrego, wyobrażeniem, pięknością, potrzebą i przeczuciem lepszego, zbogacił go zdolnością doskonalenia nietylko siebie, ale tego wszystkiego, nad czém panować może. Jakoż, dosyć objąć myślą stan przemysłu, nauk, sztuk, rzemiosł, cywilizacyi, jaki był w pierwszych wiekach ziemi, a jaki jest dziś, i jakim jeszcze być obiecuje, aby poznać, że ród ludzki do nieustannego postępu został stworzony. Jakżeby więc człowiek niemiał czynić dla szczęścia swego i cnoty, tego, co czyni codzień dla zysku, wygód i sławy?

A kiedy wszystko w rękach jego postępuje i doskonali się, a przynajmniéj sposobne jest do udoskonalenia się, miałżeby tylko duch jego być pozbawionym tak chlubnéj własności? Nie. Niema rzetelniejszéj prawdy nad tę: Człowiek na téj ziemi doskonałym nigdy, ale codzień lepszym być może. Nietylko postępować coraz daléj, lecz wznosić się coraz wyżéj ma prawo. Wczorajszą, najlepszą robotę dziś przyczyniać, poprawiać może, i jeszcze na jutro mieć widoki do jéj udoskonalenia. Chlubna praca postępu wyłącznéj pory niema; zaczęta z zapałem w młodości, ciągnąć się ma stale przez wiek dojrzały i sędziwy, aż do chwili śmierci, która często zasługą i pięknością wszystkie inne chwile przechodzi. Doskonalenie się nasze niezna granic, a to dla tego, że nam tylko gonić doskonałość wolno; dobiedz do niéj, schwycić ją niejest w mocy ludzkiéj, bo doskonałość udziałem tego świata nie jest. Zagarnął ją drugi świat; tam panuje, tam jest rzeczywistą; tu cień jéj tylko widziemy; lecz ten sam cień świadczy, że przedmiot jest gdzieś wyżéj...

Nikt więcéj z myślących niezaprzeczy, iż najgłówniejszą względem siebie powinnością jest ciągła dążność ku dobremu, nieustanne ulepszanie samego siebię. Przychodziemy na świat z jéj zarodem; dziecię skoro cokolwiek rozeznania mieć zaczyna, chce dobrze zrobić to do czego się weźmie; ta chęć wzrasta z nami razem; wychowanie i piérwsza edukacya podają nam sposoby zastósowania jéj do wyższych rzeczy, przekonywają nas, że postęp w dobrém powinnością jest naszą; spełnienie zaś téj powinności pracą jest drugiéj edukacyi, i dla tego to ważnością swoją wychowanie i piérwszą edukacyą przechodzi. Bo i na cóż by się przydały wszystkie udzielane nam od dzieciństwa napomnienia i przepisy, na co tkliwe matek starania, gorliwe nauczycieli zabiegi, gdybyśmy wprowadzone na drogę prawdy i zostawione sobie stanęły, i niestarały się wszelkiemi siłami postępować coraz wyżéj i pewniéj. Żałować należy tych co nietchną tą szlachetną chęcią, a nauczeni dobrze czynić — ustają.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sen i bezsenność.

(Dokończenie.)

Przykra to rzecz przepędzać noce bezsenne. Są to cierpienia tantalowe, przeleżeć w pościeli a niespać, i być dręczonym tysiącznemi myślami, gdy tymczasem cisza panująca w przyrodzeniu wszystkie stworzenia żywotne snem pokrzepiającym ukołysała. Zazwyczaj rozdraźniona wyobraźnia wywołuje mnóstwo trosków i obaw, które jakkolwiek są utworami ułudy, zdają się być czuwającemu rzeczywistemi cierpieniami, a obawa stąd powstała odpędza sen mimo woli naszéj.

Niejestto naszym zamiarem wchodzić obszernie w rozmaite przyczyny bezsenności. Bo krom tego, iż praca taka przechodzi granice pisma czasowego, przyznać musimy, iż w niektórych przypadkach bezsenności, takie zachodzą nadwerężenia organów, że i pomoc najbieglejszego lekarza napróżnoby się siliła o sprowadzenie snu kilkugodzinnego. W innych znowu przypadkach trwa ciągła bezsenność, choć w całym organizmie niemasz innéj nad nią samą przyczyny. Tu nieskończenie trudną jest rzeczą, wynaleźć przyczynę bezsenności.

Wielu cierpi z tego powodu i dla tego jedynie, iż trwają w uprzedzeniach i czynić niechcą, coby im pokrzepiający sen sprowadziło. Dla tego niejedzą pod wieczór z obawy, aby im wieczerza nieukróciła nocnego spokoju. Zdziwią się zapewne moi czytelnicy, skoro poparty doświadczeniem utrzymywać będę, iż mierna i łatwa do strawienia wieczerza najpewniejszym jest środkiem do snu sprowadzenia.

Aby dowieść téj ważnéj prawdy, wspomnimy o tém przeciwieństwie, w którém stoi mózg, jako słońce życia ludzkiego, do tkanki nerwowéj brzucha, jako księżyca naszego organizmu. Życie mózgu podnosi się w czasie dnia do właściwéj swojéj wysokości i działalności. W czasie tym zdają się nerwy brzuchowe, zwane gangliami, być w stanie uśpienia, jakkolwiek nie zupełnie nieczynne. Skoro zaś słońce wszechświata zaszło i świecznik ducha człowieczego ukrył się za zasłonę, którą powiekami nazywamy, natenczas budzi się systemat ganglii, jako księżyc ciała. Czynność mózgu przechodzi natenczas na nerwy brzuchowe, jeżeli sen następuje.

Działalność ta nerwów brzuchowych szczególniéj służy do odzyskania sił utraconych. Jeżeli życie nasze przyrównamy do płomienia, który się wypala z organicznych pierwiastków ciała, natenczas do jego trzymania potrzeba świeżych organicznych pierwiastków do zastąpienia już zużytych. Bo z utratą pierwiastków tych w czasie czuwania, musi koniecznie być połączone zmniejszanie się sił żywotnych, kiedy te jeno w materyi istnieją i w niéj się okazują. Każdy atom ciała zwierzęcego jest ożywiony, siła życia niema osobnego stanowiska, ono na wszystkich punktach działa. Sen w rzeczy saméj ma znaczenie nadane mu przez dawnych pisarzy, aby utracone i przez samo życie zużyte siły

nanowo dobywał, ale nie przez wyrabianie eterycznych pierwiastków, jak błędnie mniemano, które miały być odrębną iskrą siły, jeno przez powrót zużytego materyału, a więc przez pokarm.

Stąd jasno wypada, iż tkanka nerwów brzuchowych wpływa na trawienie i że otenczas do właściwéj jest pobudzona czynności, kiedy mózg siłę nerwową na nią przenosi. Każda przecie czynność musi mieć sobie właściwy przedmiot, na który wpływa, a stąd pobudzenie ganglii, a tém samém uspokojenie mózgu łatwiéj nastąpi, jeżeli nerwy brzuchowe otrzymają przedmiot, na który działać mogą, albo umiejętnie wyrażając, jeżeli mają normalne dla siebie bodzce drażliwe. Temi bodzcami są pokarmy, i dla tego już podczas dnia po obiedzie czujemy pewną ociężałość do prac umysłowych, słabość i t. d., bo ganglije zatrudnione przerabianiem pokarmów, siłę nerwową mózgowi odejmują. Przytoczone utrudzenia tém więcéj się pomnażają w czasie trawienia, jeżeli siły myślenia natężamy. Z pewnością więc ograniczymy w czasie nocy zbytnią działalność mózgu, jeżeli wieczerzą pobudzimy do czynności nerwy, ułatwiające trawienie.

Coś podobnego zapewne doznał niejeden na sobie, a przynajmniéj przekonał się po otaczających go osobach. Wiadomą to jest rzeczą, że osoby drażliwych nerwów dostają często przemoru, pociągającego za sobą wiele nieprzyjemnych skutków, które natychmiast się ułagadzają, skoro się pokarmem nasycimy. Ten głód nienaturalny niepowstał z potrzeby zastąpienia pierwiastków życiem organiczném strawionych, ale raczéj ze skutków chorobliwych, któremi okazuje się najwyższy stopień rozdrażnienia tkanki nerwowéj żołądka. Szczupła ilość pokarmu, niebędąca cale w odpowiednim stósunku z przemorem, zaspokaja gwałtowną burzę i rzeczą jest pewną, iż to nie z nasycenia, ale raczéj z uspokojenia nerwów następuje, które przez czynność assymilacyi inny kierunek otrzymały swéj działalności.

Ten sposób dowodzenia niemiałby żadnéj wartości, jeżelibyśmy go uważali za czyste filozoficzne wnioskowanie, ale nigdy świetniéj niepoświadczyła się żadna prawda fizyologiczna nad tę, zastósowaną do nauk i znawstwa chorób. W rzeczy samćj mogę zaręczyć, że nietylko siebie, ale jeszcze wielu chorych, od tych wychodząc względów, z zadawnionych bezsenności wyprowadziłem.

Każdy ztąd przekonać się może, iż żądam od osób cierpiących na bezsenność, aby wieczerzały; teraz powiem w krótkości o czasie i jakości pokarmów spożyć się mających.

Czasem najstósowniejszym na wieczerzą dla tych osób, które ją za środek lekarski chcą uważać, jest chwila półgodzinna przed udaniem się na spoczynek. Kto więc o 10. godzinie spać idzie, niech jada wieczerzą o w pół do dziesiątéj. Przepis ten wyda się być śmiesznym podług prawideł, według których uważano wieczerzą aż dotąd, ale ja się odwołuję na doświadczenie. W godzinę po wieczerzy czynność trawienia jest najsilniejsza, a skoro o tenczas wszelkie uchylimy zewnętrzne przeszkody do spoczynku, niezawodnie uśniemy, chociażbyśmy na to złe już z dawna zapadali.

Trudno jest podać powszechne prawidło, względem ilości i jakości wieczerzy. Jeden potrzebuje kilku funtów napoju i pokarmu do zupełnego zaspokojenia, inny dosyć ma na mniejszéj daleko ilości. Tyle podać możemy za prawidło, iż powinniśmy się zupełnie uczuć sytymi, jeżeli wieczerza ma być uważana za środek przeciw bezsenności. Co się tyczé jakości pokarmów, powinniśmy się naprzód przekonać o właściwém usposobieniu organów trawiących. Trawienie może być z zupełnie innych powodów nadwerężone. Czynność ta może być uśpiona, jak u otyłych, albo przeciwnie nerwy mogą być zbytecznie rozdrażnione.

W pierwszym przypadku uważam surową lub gotowaną szynkę, pieczeń z chlebem i sklankę grodziskiego lub innego gorzkiego piwa, alboli téż wina za stósowną wieczerzę, w drugim zaś kaszę, ryż lub inny łagodny, posilający pokarm, jakkolwiek i w tym razie może być bardzo stósowną pieczeń nietłusta z ziemniakami.

Gdy tymczasem przyrodzenie niejest tak systematyczne jak szkoła, zdarzyć się przeto może, że trawienie ani będzie uśpione ani rozdrażnione, jeno w innéj cierpiącéj objawi się formie, na ten nieprzewidziany przypadek szukać tu nikt niemoże nieomylnego prawidła. Ale i to tylko pozornie, bo z tego cośmy wyżéj powiedzieli wypada, iż wieczerza ma zadawać nerwom żołądkowym stósowne zatrudnienie i dla tego niemoże rozsądnemu człowiekowi wpaść na myśl, aby to zatrudnienie zamienił w uciążenie. Ztąd wypada, iż każdą wieczerzę ułożyć potrzeba według doświadczenia indiwidualnéj siły trawienia. Każdy na słabość żołądka cierpiący, wie z pewnością i lepiéj niż lekarz, co mu jest szkodliwém lub pożyteczném, niech więc w téj mierze będzie sobie lekarzem i urządzi kuchnią według swego widzimisię. Przyznaję, iż ten sposób sprowadzania snu dla osób chorowitych będzie zatrważający, nawet i to przypuszczam, że nie dla wszystkich stósowny, atoli niepowinno to odstra-

szać od doświadczenia czyli środek ten niesprowadzi snu błogosławionego po znojach dnia, kiedy inne napróżno wyczerpaliśmy.

Niech niesądzą jadnak bardzo trwożliwi chorzy, iż dojdą do celu zapomocą lękliwych doświadczeń. Zawiodą się w swoich oczekiwaniach, jeżeli aż dotąd nic niejadali na wieczerzą, i zaczęli od jakiéjkolwiek lekkiéj wodzianki. Oby tylko nabrali odwagi do spożycia silnéj strawy wieczornéj, a zapewne wdzięczni mi będą za moją radę.

Hipochondryczne i histeryczne osoby (takie, które cierpią na nieustanne drażliwości nerwów brzuchowych) zapewne nieraz tego doświadczyły, iż cierpienia swe połączone z ciśnieniem nieznośném pod krótkiemi żebrami poskramiały za pomocą jedzenia. Znałem wiele chorych łagodzących tym sposobem cierpienia połączone z niewymowną lękliwością, gdy systemat nerwowy doszedł do najnieznośniejszego natężenia, z braku zaspokojenia przemoru. Analogicznie działa tu pokarm, to jest łagodząc cierpienia i kojarząc sen w nocy, jeżeli spokojem i całkowitém usunięciem drażliwości światła, ułatwiliśmy uśpienie życia mózgowego.

Byłoby to jednak rzeczą przesadzoną, chcieć każdą bezsenność poskramiać wieczerzą. Wspomniałem już wyżéj, że środek ten nie dla wszystkich jest stósownym, a choćby był odpowiednim, niewystarczyłby może dla wielu, dla tego późniéj podam nowe na to sposoby.

MODY. — Paryż, dnia 6. Maja 1840. — Będziemy tu mówić o tkaninach, których używają na rano, na spacery i na wieczory. Na rano używają sukien:

z merveilleuse,
daguerrienne i
gros de Paris;

na spacery:
tkaniny wełniane i jedwabne
w drobne kraty norwich,
nesby-Foulard,
meris,
kraciaty mazagran i
glascovienne, białe i liliowe;

na wieczory:
suknie jedwabne,
renaissance sylphide,
szkockie Marie-Stuart,
tkaniny szkockie bramowane i w arabeski.

Trudno każdą tkaninę opisać, ale przy sposobności, nieomieszkamy tego uczynić.

Polecić możemy latową mantyllę z tkaniny bejlerbej, frężlą z marabout zdobną. Ta czworokątna z tyłu mantylla opada naprzód w czworoboczne i układane liście; na ramieniu jest zebrana, otacza kibić i nadaje jéj przyjemną wydatność.

Szarfy niezapominajkowe, mazagranowe, świeżo i pięknie wyglądają.

Półzasłonki u kapeluszy nanowo zaczynają się podobać, i powszechnie się ukazują.

W wielkim składzie rzeczy modnych ujrzeliśmy eleganckie kapotki ze słomy ryżowéj, maleńkie i zgrabne, które całkiém lice obejmują. Różny znajduje się u nich ustrój. Jedne mają białe pióro nisko opadające, drugie półzasłonki z angielskich koronek, na obwodzie z każdéj strony różą lub girlandką z kwicia migdałowego, fijałków, różyczek herbatowych i t. d. utrzymywane. Inne kapelusze z ryżowéj słomy lub krepy, wystrojone są trzema kutasami lub pewnym rodzajem kokard, z których wiązka marabutów wychodzi, tak lekka jak tchnienie i może policzyć się do najnowszych, najświeższych strojów na kapelusze dla młodych Dam. I pod obwodem widzieliśmy takież wiązeczki marabutów, zamiast kwiatów, co najlepiéj odbija od czarnych włosów.

Zamiast przeszłorocznych kapeluszy czarnych koronkowych, będą tego lata ile nam się zdaje najwięcéj upowszechnione kapotki krepowe, w ciemnych kolorach. Kapotki te są z niebieskiéj, liliowéj, zielonéj krepy, ściągane, nie podwójne, swoją przezroczystością pięknie odbijające od twarzy. Niektóre są przystrojone koronkami, inne wstążkami, różami, niezapominajkami, jazminem, białym bzem z jasnemi listeczkami.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z poult de soie, gałązką bzu ozdobiony. Suknia z szeroką falbaną. Chustka w okrąg krojona i osadzona długiemi, ciężkiemi frężlami.
2. Kapelusz krepowy z zasłonką koronkową, która do połowy obwód pokrywa i boki kapelusza otacza. Szlafroczek jedwabny, z przodu trzema rzędami bufek elastycznych osadzony, podobnie i rękawy i stanik bluzowy.
3. Kapelusz jak u figury 2. Burnus muślinowy z kapturkiem, rogi są haftowane; falbana z angielskich koronek służy za garnitur.
4. Ubiór męzki. Frak z szalowym kołnierzem i świecącemi guzikami. Obcisłe pantalony. Kolorowa kamizelka. Żabot koronkowy. Krawat ciemny.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc. 19.